Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

Nr 17 (2113) 29 lutego 1972 r. Cena 50 gr

Przygody na morzach równikowych

ROBINSONOWIE z Kokosowej Wyspy

NAD RANEM jakaś większa fala porwała im jedyne wiosło. Byli teraz zdani tylko na łaskę wichru i morza. Ale wraz z nastaniem świtu minęła burza, a powierzchnia oceanu uspokoiła się. Trzej rozbitkowie pilnie badali horyzont; nigdzie ani śladu lądu, żagla, czy warkocza dymu z okrętowego komina. Byli sami na Pacyfiku w maleńkiej, przeciekającej szalupce. Juan Menez twierdził uparcie, że nie odpłynęli daleko od miejsca katastrofy, ba, że nawet zbliżyli się w kierunku brzegów ich ojczyzny — Kostaryki. Juan znał się na tym, do wczoraj był przecież sternikiem na „Złotej Gwieździe"...

C. d. na str. 4–5

DOBRA NASZA – DOBRA WASZA

ALI BABA WAS ZAPRASZA na Święto Kobiet

Wszystkim kobietom oraz dziewczętom
na Twoje ręce życzenia składam,
bo za dni kilka jest Wasze Święto,
a to i dla nas święto nie lada.
W związku z powyższym już dziś zapowiem,
co Ali Baba kunsztownie plecie,
lecz pamiętajcie, że grunt to zdrowie...
resztę znajdziecie na stronie trzeciej.

Foto: Wł. Juźwik

SPÓŁDZIELNIA NA MEDAI

Do naszej spółdzielni uczniowskiej należy 90 proc. harcerzy, którzy bardzo aktywnie w niej pracują.

Podczas ostatnich dwóch lat spółdzielnia wypracowała 6125 zł. zysku. Remanenty nie wykazują żadnych uchybień, sprzedawcy ze swoich zadań wywiązują się znakomicie!

Na ostatnim walnym zebraniu członkowie postanowili 10 proc. dochodów przeznaczyć na konto budowy Zamku Królewskiego w Warszawie. Część zysków wykorzystujemy także na organizowanie obozów harcerskich, a także na wyposażenie spółdzielni w nowy sprzęt.

Poza sklepikiem prowadzimy także „Kawiarenkę". Na każdej przerwie można w niej wypić gorącą herbatę, a także zjeść smakowicie przyrządzony kisiel lub galaretkę.

Naszą działalnością w Spółdzielni opiekuje się nauczycielka, pani Maria Krajewska. Jest to jej praca społeczna, której poświęca wiele czasu i zainteresowania. (bs)

Członkowie Spółdzielni Uczniowskiej przy Szk. Podst. nr 1 w Terespolu

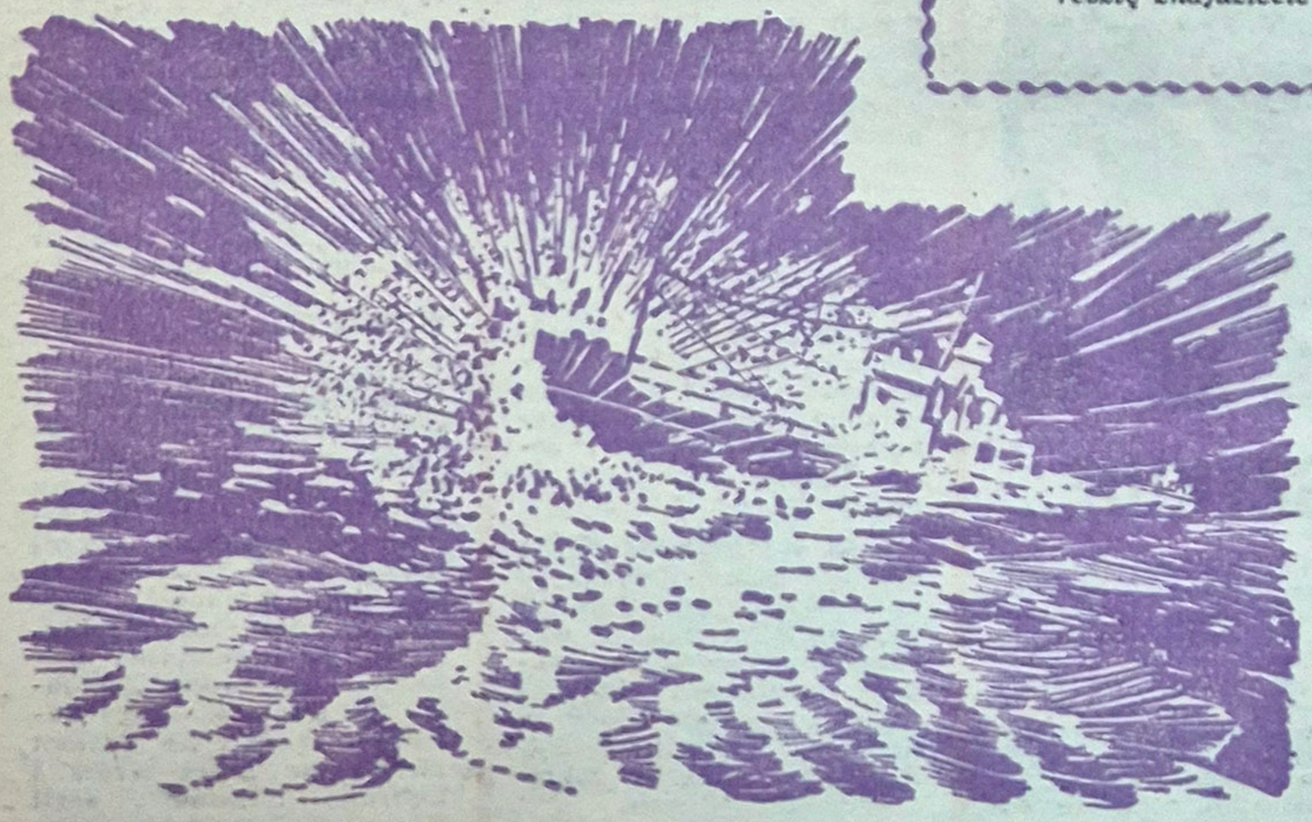

ZBIÓRKA POD PIRAMIDAMI

Zima nam splatała w tym roku nie byle jakiego figla. Drużyny i zastępy, które zaplanowały sobie batalie śnieżne, zawody saneczkowe, biegi narciarskie znalazły się nie lada kropce.

Chcemy Wam dzisiaj przedstawić taką drużynę, której udało się uniknąć tego kłopotu. W jaki sposób?! Po prostu tam, gdzie działają nie ma wcale zimy.

Drużyna ta istnieje przy Ambasadzie Polskiej w Kairze. Należy do niej 23 dziewcząt i chłopców, dzieci pracowników polskich placówek w tym mieście. Nosi imię Tadeusza Kościuszki a drużynowym jest druh inż. Janusz Filemonowicz.

Na zdjęciu drużynowy przyjmuje raport od jednego z zastępów o gotowości wyruszenia na bieg terenowy. Bieg, pod piramidami. Życzymy powodzenia!

Foto: CAF

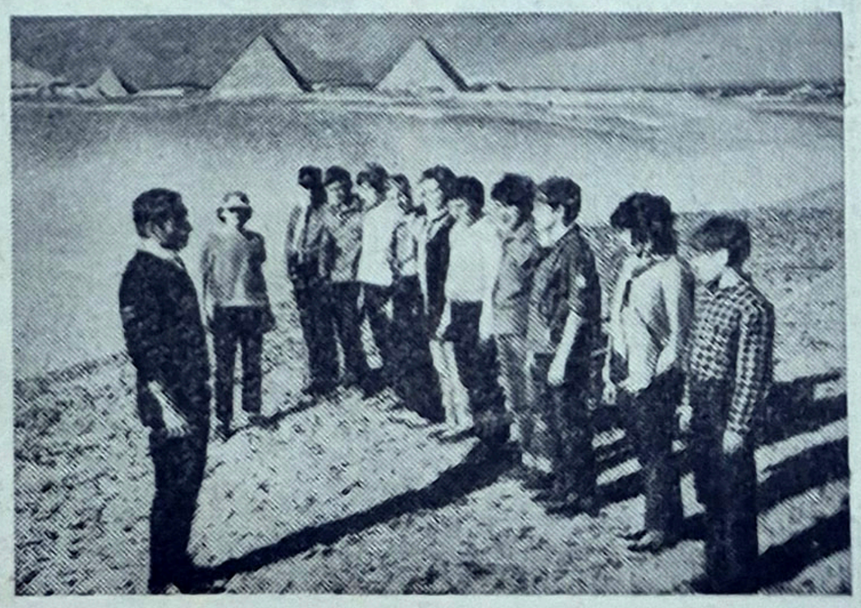

PUŁAPKA NA MUCHY

Znaną jest rzeczą, że światło działa przyciągająco na owady. Właściwość tę wykorzystano do zwalczania różnych szkodników w sadach oraz much w domach mieszkalnych i pomieszczeniach dla zwierząt.

Urządzenie składa się z żarówki, otoczonej siatką przez którą przepływa prąd elektryczny. Pod spodem umieszczona jest taca. Do pułapek używane są specjalne żarówki wysyłające promienie nadfioletowe. Przekonano się bowiem, że właśnie te promienie działają najsilniej wabiąco na muchy i inne owady. Zlatują się one do takiej pułapki nawet w dzień, i z chwilą gdy uderzą o naelektryzowaną siatkę — padają martwe na podstawioną tacę.

Pułapki takie wyrabiała swego czasu tylko pewna fabryka w Australii. Obecnie rozpowszechniły się one już w wielu krajach. Jedno takie urządzenie zwabia owady z obszaru 450 m kw., a więc jeżeli chodzi o tępienie much w budynkach — wystarcza np. na oborę szerokości 15 i długości 30 m. (jk)

DWADZIEŚCIA MILIARDÓW ZŁOTYCH

WIELE SIĘ ostatnio o tej sumie słyszy: pisze o niej prasa, wspominają w szkole nauczyciele. Skąd się ta cała sprawa wzięła i o jakie 20 mld zł chodzi? Czyżby zabrakło nam w kraju pieniędzy? Wyjaśnijmy więc od razu: nie chodzi o brak pieniędzy, lecz przeciwnie — raczej o zwiększenie możliwości ich wydania.

Wyobraźcie sobie taką sytuację: dostaliście na urodziny 300 zł i chcecie za tę sumę kupić sobie maleńki odbiornik tranzystorowy wielkości pudełka od zapałek. Mkniecie więc w te pędy do sklepu, a tam co? — nie ma takich odbiorników... Dlaczego? Bo ich po prostu jeszcze nie wyprodukowano. I zostajecie ze swoimi 300 zł czując się ludźmi bogatymi tylko pozornie.

Właśnie o wyprodukowanie tego wszystkiego, co mogliby ludzie pracy za swoje pieniądze kupić, chodzi przede wszystkim w tej całej sprawie 20 miliardów. — Czy nie można wobec tego sprowadzić towarów z zagranicy? — zapyta ktoś. — Przecież import często wyrównuje braki towarów na naszym krajowym rynku... Oczywiście, że można. Tylko, że towary kupuje się za granicą za dewizy, a tych nie mamy w nadmiarze. Trzeba więc rynkowi dostarczyć towarów, które byłyby do kupienia za złotówki. Owe 20 miliardów zł nie oznaczają wcale, że właśnie towarów za tę sumę nam brakuje. Chodzi jednak o to, by kraj miał pewne rezerwy, a także, by zlikwidować luki w produkcji niektórych towarów, których brakuje najbardziej.

JAK TO WSZYSTKO OSIĄGNĄĆ?

Wyprodukowanie towarów za sumę 20 miliardów nie jest sprawą łatwą, gdyż chodzi tu o towary wyprodukowane **dodatkowo, równolegle do produkcji zasadniczej,** już przedtem zaplanowanej. Trzeba więc na własnym podwórku, w znanych sobie warunkach znaleźć miejsce dla owej dodatkowej produkcji. I jest to w naszych warunkach możliwe. W każdej prawie fabryce istnieją tzw. rezerwy produkcyjne, tylko załogi nie zawsze je widzą. Maszyna produkuje np. sto uszczelek na godzinę, a sąsiednia — tyleż pokrywek. Trzecia maszyna ma jednak przestoje, bo swoje tysiąc elementów wykonuje szybciej. Czy musi stać? Czy nie może produkować dodatkowo czego innego? Czy np. tokarka, przy której pracuje robotnik mający akurat zwolnienie lekarskie — musi stać bezczynnie? Czy na przestrzeni zajmowanej dotąd przez cztery zgrzewarki nie może stanąć piąta? Czy właściwa jest organizacja pracy? Może zamiast trzech robotników przy maszynie, wystarczy dwóch, a ten trzeci przejdzie do innej pracy? A jak wygląda dostarczanie surowców do fabryki? Czy muszą one leżeć gdzieś na stacji przeładunkowej dwa dni? Albo: czy transport zakładowy pracuje sprawnie? Dlaczego zamiast 10 wozów, wyruszyło w drogę tylko 8? Słowem: wszystko rozegra się na płaszczyźnie zwiększenia wydajności pracy, postępu technicznego, lepszego wykorzystania maszyn i coraz lepszej organizacji samej pracy.

I tu się ujawnia druga doniosła rola „systemu 20 miliardów": powinien on usprawnić produkcję, wyciągnąć na wierzch zamrożone możliwości ludzi i maszyn, ujawnić błędy w kooperacji, czyli współdziałaniu różnych zakładów produkcyjnych.

W Klubie Miliarderów

GDYBYŚMY chcieli tu wyliczyć wszystkie zakłady pracy, które apel podjęły i realizują dodatkowe zadania, nie starczyłoby wszystkich stron gazety. Więc tylko króciutkie meldunki ze wszystkich stron kraju:

Silniki i agregaty prądotwórcze produkują Zakłady Mechaniczne im. Nowotki w Warszawie. Ich załoga postanowiła wyprodukować w tym roku dodatkową ilość tych urządzeń za sumę prawie

4 mln zł.

Dodatkową produkcję dadzą zakłady przemysłu spożywczego. Jej wartość:

3 miliardy zł!

Warszawska spółdzielczość pracy zwiększy zakres świadczonych usług o

1/2 mln zł.

a dodatkowa produkcja Toruńskich Zakładów Ceramiki Budowlanej będzie warta

603 mln zł.

Huta Szkła w Murowie, w woj. opolskim zaoferuje rynkowi

pół mln m² szkła okiennego,

a inna Huta szkła, w Białymstoku wypuści na rynek dodatkowe ilości szklanek i innych naczyń kuchennych za sumę

3 mln zł.

Więcej ryb obiecuje szczeciński „Gryf", więcej sztucznej skóry-skayu zakłady przemysłu terenowego w Łodzi. Otrzymamy także więcej węgla koksującego od górników, więcej mieszkań od budowlanych Poznania, Krakowa, Warszawy i wielu innych miast. Poznańscy producenci wyrobów mlecznych, podobnie jak ich warszawscy koledzy rzucą na rynek zwiększone ilości serów i kefirów. „Amino", czyli Poznańska Fabryka Koncentratów, o której pisaliśmy w ub. roku, obiecuje wśród innych nowości „bombę sezonu" — lody p u s z y s t e! Więcej będzie telefonów z Radomia (pisaliśmy o tych zakładach) więcej rajstop, pończoch, cukierków, butów — wszystkiego.

Praca nad osiągnięciem dodatkowych wartości produkcji przybiera różne formy. Dwa przedsiębiorstwa budowlane SPBO nr 1 i nr 2 w Szczecinie urządzają przedziwny wyścig: ich załogi otrzymają identyczny sprzęt, tę samą ilość pracowników i takie same plany domu, po czym przystąpią do rywalizacji: kto szybciej i lepiej wybuduje taki sam blok mieszkalny!

DZIENNIKARZE NA STARTI

Warszawski **„Express Wieczorny"** wspólnie z **„Głosem Pracy"** i **Centralną Radą Związków Zawodowych** utworzyły na swych łamach Klub Miliarderów. Może się do niego zapisać każdy zakład produkcyjny, który podjął i realizuje dodatkową produkcję. I zgłaszają się setki!

„Głos Szczeciński", „Wieczór Wrocławia" oraz prawie wszystkie gazety ukazujące się w wielkich zakładach pracy (jest ich dziesiątki) wspomagają akcję. Dziennikarze codziennie bywają na stanowiskach produkcyjnych w zakładach pracy, piszą o ludziach i ich zobowiązaniach, przedstawiają sylwetki najlepszych, najofiarniejszych. W prasie terenowej często spotkać można informacje na temat z a r o b k ó w pracowników produkujących dodatkowe towary. Okazuje się bowiem, że w niektórych wypadkach zarobki wzrosły i to znacznie. W cementowni w Opolu. Ten przykład wybraliśmy z wielu, o 400 zł miesięcznie dla każdego robotnika.

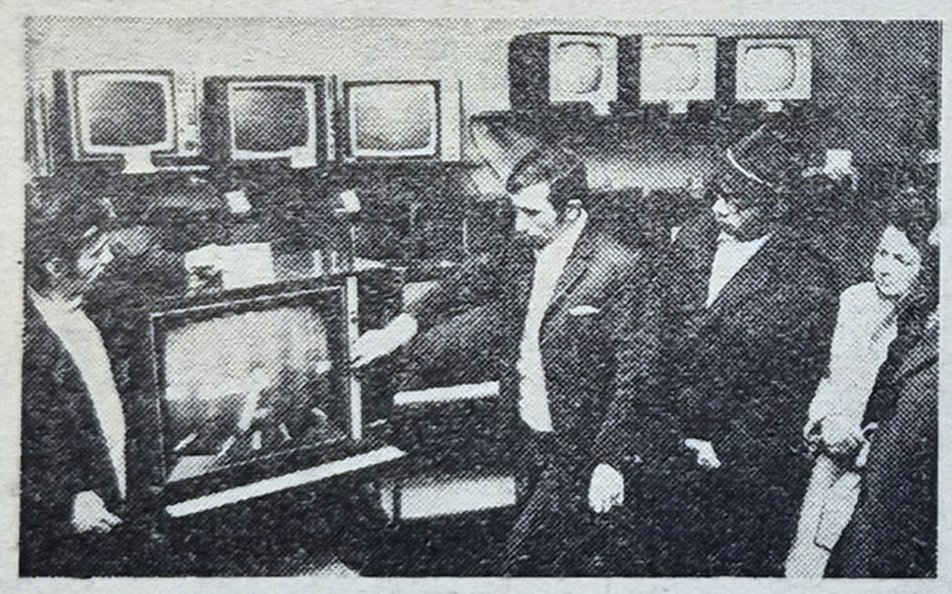

HANDEL JUŻ SIĘ SZYKUJE...

Nasz handel musi to wszystko sprzedać, z czego się zresztą cieszy, bowiem więcej towarów w sklepie — to zadowoleni klienci i wyższe zarobki załóg sklepowych. „GAZETA HANDLOWA" wprowadziła na swoje łamy bardzo pożyteczną rubrykę: „PROPOZYCJE Z ADRESEM". Piszą do niej kierownicy i pracownicy sklepów, dyrektorzy i szefowie działów ze zjednoczeń i przedsiębiorstw handlowych, proponując konkretnym zakładom przemysłowym, by wyprodukowały to i owo. Rzecz w tym, aby znalazły się na rynku towary najbardziej poszukiwane, a przy tym tańsze od dawnych i oczywiście lepsze, wtedy handel sprzeda wszystko, co w ramach 20 miliardów dostarczy mu przemysł.

Kolumnę opracował:
R. GAŁUSZKA

Dobra nasza, dobra wasza, ALI BABA dziś zaprasza na Święto Kobiet

W Dniu Święta Kobiet — niezależnie od własnych atrakcji — możecie zabawić siebie i Solenizantki następującym występem, który można przedstawić zarówno w całości, jak i w dowolnie wybranych fragmentach. Na estradę wchodzi odpowiednio ucharakteryzowana ekipa aktorska i śpiewa na melodię harcerskiej piosenki „Z całego serca wszyscy razem":

ZESPÓŁ:

Nasz zespół dzisiaj się popisze!
Hip-hip-hura, hip-hip-hura,
hip-hip-hura!
Atramentową przerwie ciszę!
Hip-hip-hura... itd.
Dzisiaj drużyna śpiewa cała:
hip-hip-hura... itd.
Szanownym Paniom cześć i chwała!
Hip-hip-hura... itd.
Wam to śpiewamy, a nie sobie!
Hip-hip-hura... itd.
Bo obchodzimy Święto Kobiet!
Hip-hip-hura... itd.

Aktorzy opuszczają estradę gęsiego obchodząc transparent z napisem „Święto Kobiet". Pozostaje tylko ALI BABA. (mówi donośnie):

ALI BABA:

Szanowne Panie! Nie bez racji
i absolutnie bez przykrości
tych kilka naszych delegacji
kwiatami Wam dziś drogę mości.
Gadają nieobyci w sferze,
że Panie to płeć ponoć słaba...
Ja bardzo szczerze w to nie wierzę,
jakem prawdziwy Ali Baba.

(wręcza kwiat dowolnie wybranej Pani i mówi dalej)

Przypadł mi w udziale niemały
zaszczyt wprowadzenia delegacji, co
czynię zupełnie dobrowolnie. Wprowadzam delegację pierwszą, którą
reprezentuje niejaki Jeremi Przybora w imieniu **dwu** Starszych Panów.

(Wprowadza za rękę Przyborę i sam znika)

PRZYBORA:

(Spiewa na melodię refrenu piosenki „Starsi panowie dwaj"):

Starsi panowie, starsi panowie,
starsi panowie dwaj
cieszą się, że dziś Święto Kobiet,
choć marzec to nie maj.
Od Starszych Panów — szczerze to
powiem —
przyjmijcie, Panie, dziś
życzenia zdrowia, co się zowie
i taką oto myśl:

(Mówi):

Kobieta jest jak kwiat, a zatem,
proszę nie gardzić moim kwiatem.
Kochajcie starszych panów poza
tem.

(Wręcza kwiat jakiejś upatrzonej Pani)

ALI BABA:

Miał wprawdzie, proszę Pań wystąpić sam d'Artagnian, ale — jak to czasami bywa u Trzech Muszkieterów — „Dartanian" wydelegował w delikatnej sprawie tylko jednego z nich. W imieniu **Trzech** Muszkieterów przemawiać będzie zatem Atos!

ATOS:

(mówi)

Szanowne Panie, pewnie wiecie,
że my się znamy na muszkiecie
i na czymś jeszcze też się znamy,
bo uwielbiamy piękne damy.
W związku z powyższym choć otyły
— m
dziś strzelę okiem w Wasz kolektyw:
Gdybyście Syrenami były,
to bym Wam ucałował płetwy...
Pozwólcie, Panie, że się wzruszę
i swym koleżkom figla spłatam,
bo swoim własnym kapeluszem
Wam przed stopami kurz pozmiatam.

(Wręcza kwiat upatrzonej Pani)

ALI BABA:

(woła):

Teraz z programu mi wynika,
że zapowiedzieć mam Gustlika!
Co niniejszym czynię!

GUSTLIK:

(ciągnąc za sobą makietę pieca)

O roztomiłe! Chciałbym Wam rzec,
co dziś Wam **Cztyrej** Pancerni życą!
Cztyrej Pancerni i ten oto piec,
któregom dorwał przechodząc ulicą!
Niech Wam Szarika piec zastąpi,
bo Szarik zaś jest na urlopie.
Piec ciepła Wam nie będzie skąpić,
jak serce me, co jest w ukropie.
A zem jo wojok i niegnuśny,
i nie zaś byle ta gagatek,
daruję Pani kwiat frymuśny,
jakby dla setki Honoratek.

(Wręcza kwiat upatrzonej Pani).

ALI BABA:

No to Gustlika mamy z głowy,
Aliści jest delegat nowy.
Patrzy jak pirat ciut z ukosa.
To piąty chłopak z „Albatrosa"!

PIĄTY:

(śpiewa na melodię ballady „Pięciu chłopców z Albatrosa")

Na dzisiejsze nasze święto
trasą prostą, a nie krętą
przypłynęli chłopcy hen z dalekich
mórz,
a że święto to niemałe,
dzisiaj zwija żagle białe
pięciu chłopców, pięciu chłopców z
„Albatrosa".
I ten pierwszy, co był chudy,
i ten drugi, co był rudy,
i ten trzeci, co mógł z czartem w
kości grać,
I ten czwarty, ten obdarty,
co miał w górę nos zadarty,
i koszule własne umiał prać.
I ten piąty, ten najmłodszy,
co się pod nich wszystkich podszył,
czarne oczy jak diamenty miał...

(Wręczając udekorowany kwiatami bosak upatrzonej Pani).

Proszę przyjąć zatem bosak
Pięciu chłopców z „Albatrosa",
z „Albatrosa", bo tak statek ich się
zwał.

ALI BABA:

A teraz będzie niespodzianka:
wystąpi nasz kolega Ścianka,
aby w imieniu wszystkich Panów
złożyć życzenia od Sześcianu!

ŚCIANKA:

Sześcian, jak sama nazwa wskazuje,
ma sześć ścian, podobnie jak tydzień ma sześć dni powszednich. W
imieniu Sześcianu składam Paniom
życzenia, żeby każdy powszedni
dzień tygodnia był dla Pań tak miły
jak niedziela, która tylko dlatego nie
mieści się w sześcianie, że przeznaczona jest na wypoczynek dla Pań.

(Wręczając bukiet upatrzonej Pani)

A zatem hurtem, nie na raty,
przyjmij, o Pani, skromne kwiaty!

ALI BABA:

A teraz, niby to niechcący,
delegat Siedmiu Braci Śpiących!

ŚPIĄCY:

(mówi sennie):

W sennym marzeniu zwiedziłem
cały świat.
Mam braciszków siedmiu i do snu
jam ich kładł.
Sennym wyznaniem pozdrawiam
Panie, właśnie dziś:
Niech w stuletnym planie dobre
mają sny.

(Schodzi wręczając kwiat upatrzonej Pani)

ALI BABA:

Przyznam szczerze, że teraz sam
mam tremę. Wprawdzie postać ta
wychodzi ostatnio z mody, ale dopóki ma władzę, trzeba przynajmniej
udawać lęk przed majestatem.

(Donośnie):

A oto nasz dostojny gość:
Jego Szachowa Królewska Mość!

KRÓL;

(do Ali Baby)

Cóż ja tu widzę, Szambelanie?!

(przyglądając się widzom)

Już wiem! Urocze widzę Panie,
a że na Paniach My się znamy,
widzę — nie panie, ale damy!
Wyszedłem z szachownicy właśnie,
bo pewien młodzian dał mi mata,
lecz mi na duszy jakoś jaśniej —
bo w damy chata ta bogata.
A rzecz to jasna i prawdziwa
(kto jest przeciwny — o to mniejsza),
że w życiu tak jak w szachach
bywa:
Dama jest zawsze najważniejsza.
Dlatego właśnie, proszę ludu,
tego ze szkoły i przedszkola:
zadajmy sobie trochę trudu
i zaśpiewajmy Damom „Sto lat"!

(Następuje śpiew chóralny, KRÓL i chór schodzą ze sceny, wręczając kwiaty upatrzonym Paniom, ale pozostaje ALI BABA).

ALI BABA:

Uwaga, uwaga! Ze względu na brak warunków terenowych nie możemy przedstawić zaplanowanego meczu pilkarskiego. W zamian za to wystąpi solo w imieniu naszych znakomitych złotych medalistów — mistrz olimpijski z Sapporo — Wojtek Fortuna!

FORTUNA:

(z kijkami narciarskimi — jeden kij udekorowany jest kwiatami. Spiewa na melodię piosenki „Trzej przyjaciele z boiska"):

Dzisiaj jest czas na skakanie,
bo sport, nam chłopcom, nieobcy,
więc pozdrawiają dziś Panie
dżentelmeni sportowcy.
Nic tutaj dodać, nic ująć
— Niech zdrowo płyną Im lata
i niech nas dopingują
na wszystkich skoczniach świata!
Niech dni Im płyną uroczo
jak górski modrawy strumyk...
Niech takim sercom i oczom
nie zbraknie nigdy fortuny!

(Wręcza kijek z kwiatami upatrzonej Pani, a chór powtarza piosenkę od słów „Nic tutaj dodać, nic ująć")

ALI BABA:

Niech kwiat do stóp się Waszych
zgina,
a ja zapowiem teraz finał...

(Na estradę wkracza cały zespół i śpiewa na melodię piosenki harcerskiej zaczynającej się od słów: „Z całego serca wszyscy razem...")

ZESPÓŁ:

Na koniec zawołajmy przeto...
Hip-hip-hura, hip-hip-hura!
Nie samym sobie, lecz Kobietom!
Hip-hip-hura... itd.
Wspomnienie miłe nam zostanie...
Hip-hip-hura, hip-hip-hura... itd.
Gdy się uśmiechną do nas Panie!
Hip-hip-hura... itd.
Wam to śpiewamy, a nie sobie!
Hip-hip-hura... itd.
Wiwat Kobiety w Święto Kobiet!
Hip-hip-hura... itd.

To by chyba było wszystko —
Z poważaniem: **WACŁAW BISKO**

(rys. Henryk Chmielewski)

Od lewej stoją: KRÓL SZACHOWY, PIĄTY CHŁOPAK Z „ALBATROSA", ALI BABA, JEREMI PRZYBORA, ATOS, SIÓDMY BRAT ŚPIĄCY, GUSTLIK, SZEŚCIAN I FORTUNA.

Korespondencja własna z Węgier

Zsuzsa, Erzsi I INNE

Do miejscowości Pásztó jedzie się samochodem z Budapesztu około godziny. Małe to miasteczko i nie byłoby w nim nic specjalnie godnego uwagi gdyby nie Szkoła Nr. 1. W szkole tej, jak i w każdej innej szkole węgierskiej, pracuje drużyna pionierska. W tej drużynie nie byłoby też nic specjalnie godnego uwagi, gdyby nie zastęp „Strażaczek". Należy do niego 9 dziewczynek. Najmłodsza — Zsuzsa Kelemen, chodzi do VI klasy. Najstarsze są już w VIII-ej.

Trzymajcie kciuki!

Gdy w czerwcu ubiegłego roku pionierzy węgierscy obchodzili z wielkim szumem swój 25-letni jubileusz, na Wielki Zlot do Budapesztu przybyły delegacje wszystkich drużyn z całego kraju. Któregoś dnia wszyscy spotkali się na zabawie w parku miejskim. Były tam i dziewczęta z Pásztó, Zsuzsa, Erzsi i inne. Zwracały uwagę tym, że miały zaciśnięte pięści.

— Dlaczego tak trzymacie ręce? — pytali je wszyscy po kolei.

— Bo musimy trzymać kciuki za naszych chłopców — wyjaśniała niezmordowanie zastępowa, Zsuzsa Volek. — Oni dzisiaj startują w powiatowych zowodach strażackich.

Bo my co prawda ciągle z nimi rywalizujemy, ale to są jednak nasi chłopcy i chciałybyśmy, żeby zajęli pierwsze miejsce.

Rywalizacja

Właściwie to zaczęło się od najzwyczajniejszej w świecie... zazdrości. Chłopcy z drużyny pracowali w zastępach MSR-owskich. Ciągle brali udział w jakichś szkoleniach, treningach, biegach. W specjalnym rynsztunku regulowali ruchem w okolicach szkoły. I byli dumni jak pawie, że są tacy ważni.

Dziewczęta nie chciały być gorsze. Myślały i myślały nad tym, jaką to specjalność sobie wybrać, aby chłopców zakasować. A istniały w tej szkole i zastępy chłopców-strażaków. Należał do nich między innymi brat Erzsi.

Te długie, 20-metrowe zwoje przewodów, którymi popłynie woda mają swoją wagę, ale dziewczęta z zastępu „Strażaczek" nauczyły się dawać sobie z nimi radę.

To właśnie ona przybiegła kiedyś na zbiórkę z tym pomysłem:

— Słuchajcie! A gdybyśmy tak zostały zastępem strażackim?

Niektóre miały wątpliwości: — A czy będą chcieli przyjąć do strażaków nas, dziewczyny?!

Erzsi przekonywała: — Na pewno nas przyjmą. A co? Może jesteśmy gorsze?! Pokażmy im, że my też potrafimy! A tym z MSR-u to „oko zbieleje"!

Dziewczyna — sikawkową

No i „zbielało".

Pásztó ma stare tradycje strażackie. Ochotnicza Straż Pożarna istniała tam już 87 lat temu, ale jeszcze nigdy nie zajmowały się tym fachem „baby".

Zawodowi strażacy, którzy „trenują" swoich najmłodszych następców sądzili, że dziewczęta prędko się zniechęcą, że nie dadzą rady.

— Takie maluchy! — kręcili głowami.

A one pokazały, co potrafią. Po kilku tygodniach pilnych ćwiczeń ze sprzętem na towarzyskich zawodach kontrolnych pokonały swoich starszych kolegów.

— To są ćwiczenia na szybkość — opowiada Ibolya — ale nie wolno robić nic „na ura". Musi być szybko i starannie. I każdy ma swoje zadanie, wszystko bowiem, cały wynik, zależy od pracy kolektywnej. Każda z nas musi bardzo uważać, a nie wolno drugiej pomóc, bo nikt nie może zejść ze swego stanowiska, wszystko by się wtedy poplątało...

Gwizdek! Zastęp ustawiony w szeregu rozbiega się. Wyciągają wielkie 20-metrowe zwoje sikawek, montują łącza, podłączają całą instalację do źródła wodnego.

— Zastęp gotowy! — melduje Magda.

Od chwili gwizdka upłynęło 60 sekund!

Grunt to trening!

Zbiórki ćwiczebne mają 3 razy w tygodniu o godzinie 18.00. Ćwiczą półtorej, dwie godziny. Często urządzają gry, które wyrabiają refleks i oko. Na przykład strzelanie wodą do celu z odległości 8 metrów. Albo wyścigi z wiaderkiem pełnym wody podawanym z rąk do rąk.

Albo ćwiczenia zupełnie indywidualne. Na przykład poranna gimnastyka. Zsuzsa Reviczky uprawia ją biegając codziennie rano 20 razy naokoło swojego domu.

— I w szkole mi się potem lepiej uczyć po takim biegu! — reklamuje swój sposób.

I ma zupełną rację. Bo zastęp „Strażaczek" poza swoimi wyczynami fachowymi słynie z tego, że są w nim same doskonałe uczennice.

EWA KŁOSIEWICZ

Foto: autorki

Fragment jednej z gier. Wiaderko pełne wody trzeba szybko i zręcznie donieść do celu.

Nawet specom sprawia czasami kłopot połączenie skomplikowanych kranów. Zawsze mogą wtedy liczyć na pomoc opiekuna zastępu.

C. d. ze str. 1

ROBINSONOWIE z Kokosowej Wyspy

Katastrofa zdarzyła się tuż przed północą. Kostarykański statek rybacki „Złota Gwiazda" wracał z połowów z pełnymi ładowniami. Załoga spała, wachtę pełnili tylko sternik Juan Menez, rybak José Limon i chłopak okrętowy Marco. Nagły wybuch złamał statek na dwoje. Najprawdopodobniej wpadli na jakąś błądzącą minę lub torpedę z czasów pierwszej wojny światowej. W owych latach — w latach dwudziestych — mnóstwo tego świństwa plątało się jeszcze po morzach. Tylna część statku z pomieszczeniami załogi poszła natychmiast na dno. Wybuch wrzucił do sterówki Marco, który niósł właśnie kawę dla sternika. To trwało nie dłużej niż minutę: ogłuszonego chłopaka chwycił na ręce potężny sternik, wyskoczył z nadbudówki i po omacku dotarł do małej szalupy na dziobie. Tu był też José, który właśnie w tym miejscu pełnił wachtę. Kiedy znaleźli się w szalupie, pokład już zalewało morze. Jakaś fala rzuciła nimi o nadbudówkę, aż trzasnęły deski poszycia. José przeciął linę w ostatniej chwili.

TRZY DNI NIEPEWNOŚCI

Tak więc nad ranem stracili wiosło i stwierdzili, że są na oceanie samiuteńcy. Sternik Juan długo wpatrywał się w słońce, sprawdzał godzinę na swym zegarku kieszonkowym, rzucał do wody drzazgi z burt łodzi, wreszcie orzekł, że morze znosi ich szczęśliwie ku ojczystym brzegom. Ale powiedział także, że od Kostaryki dzieli ich jeszcze — o ile się nie myli — co najmniej pięćset kilometrów.

Na szczęście ich szalupa ratunkowa zawierała przygotowany na wszelki wypadek zapas sucharów, blaszankę wody pitnej, trochę lekarstw i zapałki. Juan opatrzył ranę na głowie Marco, chłopak rozciął sobie czoło uderzony siłą wybuchu o ścianę sterówki. Potem zjedli po sucharze, wypili po miarce wody. Morze niosło ich w bezkresną dal. W południe José zauważył na horyzoncie jakąś plamkę. Przed zachodem słońca mogli już bez wątpienia stwierdzić, że przed nimi znajduje się wyspa.

Trzy długie dni i noce prądy morskie i wiatr nosiły szalupę z rozbitkami wokół wyspy. Juan i José byli już pewni — to jest Wyspa Kokosowa; przepływali nie raz koło niej na „Złotej Gwieździe". Wreszcie z trudem udało im się tępym scyzorykiem wyciąć z burty łódki dwie deski. Osłabiając wytrzymałość łupiny otrzymali w ten sposób wiosła.

Był już późny wieczór, gdy znaleźli zatoczkę wśród urwistych brzegów. Wyciągnęli łódkę jak najdalej od wody i półprzytomni ze zmęczenia zapadli w kamienny sen.

GDZIE UKRYTO SKARBY?

Właściwie nie cierpieli głodu. Byli przecież ludźmi morza. Małże, zebrane z przybrzeżnych skał, ryby — łapane na haczyk z drutu znalezionego w łódce — dostarczały znakomitego pożywienia. Gorzej było z wodą. Na szczęście znaleźli trochę deszczówki w zagłębieniach skalnych. Choć było ją czuć ziemią — dawała się pić.

Czwartego dnia Marco myszkując po wyspie odnalazł dwie po-

rzucone wśród k
W jednej — pu
mi mięsnymi i
giej — skonder
trochę narzędzi
zacyjne. Widać
skrzynki porzuc
może kilka mie
lezione zapasy
maicały „kuchni

Wtedy to Jua
najbardziej oc
trójki opowiedzi
rzyszm, że tu,
sowej, znajduje
kryjówka skarb
i pół wieku gro
załogi statków,
pobliżu. Równie
narodowości za
wyspę ze swą z
wiedział także,
nich stu lat bli
dycji poszukiwa
szukiwało wysp
pasy pozostawił
któraś z ostatni

— Gdzie są t
tał naiwnie Ma

— Kto to wie
nigdy nikt tu n

„MENUET WOŁU"

WIELKI KOMPOZYTOR austriacki, nauczyciel Beetovena, Józef Haydn cieszył się zasłużoną sławą i popularnością. Utwory jego były znane w Europie, otaczali go szacunkiem nie tylko wielcy tego świata, ale i maluczcy.

Pewnego razu przyszedł do niego dziwny interesant. Oświadczył, że jest rzeźnikiem, że wkrótce odbędzie się jego weselisko, więc pokornie prosi sławnego mistrza o skomponowanie specjalnego menueta na tę uroczystość. Cena nie gra roli, zapłaci, ile Haydn zażąda. Kompozytor przyjął zamówienie i oświadczył, że utwór będzie gotowy za 2 tygodnie. Gdy upłynął termin, rzeźnik ponownie zjawił się u Haydna, otrzymał gotowy utwór i jako honorarium wręczył mistrzowi pokaźną kieskę. Haydn śmiejąc się odmówił przyjęcia zapłaty, mimo protestów żony. Następnego dnia jeszcze raz przyszedł rzeźnik, ciągnąc za sobą ogromnego wołu, jako zapłatę za menueta. Cała historia skończyła się wesoło, a dzieło mistrza do dziś nazywa się „menuetem wołu".

(mk)

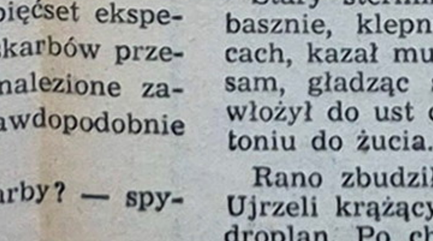

kamieni skrzynki.
szki z konserwa-
cukrem. W dru-
nsowane mleko,
i rakiety sygnali-
było, że obie
ono tu niedawno,
sięcy temu. Zna-
znakomicie uroz-
ę" robinsonów.

an, najstarszy i
czytany z całej
ał swoim towa-
na Wyspie Koko-
się podobno
ów. Przez dwa
nadziły je ocalałe
które zatonęły w
eż piraci różnych
wijali często na
dobyczą. Juan po-
iż w ciągu ostat-
sko pięćset ekspe-
czy skarbów prze-
ę. Znalezione za-
a prawdopodobnie
ch.
e skarby? — spy-
co.
e, synu? Może ich
ie zostawił...

OCALENIE MIAŁO SKRZYDŁA

Nawet nie próbowali szukać skarbów na wyspie. Za to dwudziestego dnia, na tle zachodzącego słońca ujrzeli pióropusz dymu. Statek! Natychmiast wystrzelili rakiety sygnalizacyjne. Statek na tyle zbliżył się do wyspy, że dojrzeli jego komin. Ale nic ponadto! Nikt nigdy nie dowiedział się, co to była za jednostka i czy widziała sygnały.

Dwóch młodszych rozbitków zaczęło ogarniać zwątpienie. Marco zapłakał.

— Weźcie się w kupę, chłopaki! Jeszcze kilka dni, a ta diabelska wyspa przyciągnie nowych amatorów skarbów. Daję wam na to moją... brodę!

Stary sternik roześmiał się rubasznie, klepnął Marco po plecach, kazał mu przynieść wody, a sam, gładząc swą długą brodę włożył do ust ostatni kawałek tytoniu do żucia...

Rano zbudził ich jakiś warkot. Ujrzeli krążący wokół wyspy hydroplan. Po chwili samolot zwodował przy zatoczce. Pobiegli tam.

Dwa pontony z ludźmi i ładunkiem płynęły do brzegu ze stojącego w oddali wodnosamolotu. Przybysze patrzyli ze zdumieniem na trzech uszczęśliwionych obrośniętych obdartusów. Nie, nie przyjechali specjalnie po nich. To była po prostu nowa... wyprawa po legendarne skarby. Pilot — kapitan Roy Collins — serdecznie zaopiekował się trzema robinsonami z Wyspy Kokosowej. Ci z kolei ochoczo dzielili się z przybyszami swoimi doświadczeniami przymusowego pobytu na wyspie.

Późnym popołudniem, znacząc na wodzie pienisty ślad, hydroplan wystartował z Juanem, José i Marco na pokładzie. Jeszcze tego samego dnia znaleźli się w kostarykańskim mieście Puntarenas. Tu czekały na nich ich rodzinne domy. Tu był też port macierzysty nieszczęśliwej „Złotej Gwiazdy", z której oprócz nich nikomu nie udało się ocalić.

JAN STYKOWSKI
Ilustr. JAN ROCKI

Tam, gdzie SER dojrzewa...

Kręgi sera brie pokrojone jak tort na 12 części zostaną owinięte w cynfolię i ułożone w przewiewnych łubiankach. Ser brie lubi dużo powietrza, natomiast nie służą mu długotrwałe wędrówki z mleczarni do sklepów.

W naszej redakcji wszyscy przepadają za serem typu brie *). Niestety, stale go w sklepach warszawskich brakuje, gdyż tylko jedna mleczarnia w Polsce produkuje ten przysmak. To Spółdzielnia Mleczarska w Gnieźnie. Postanowiłam więc tam pojechać, aby zobaczyć, jak taki ser powstaje...

Moim przewodnikiem po zakładzie był kierownik produkcji, pan Zygmunt Stefański, w branży mleczarskiej pracujący już 25 lat. Dowiedziałam się od niego, że ser brie należy do gatunku miękkich serów pleśniowych, których ojczyzną jest Francja. Przechowywano go tam w pieczarach, gdzie pleśń przechodziła na kręgi sera i porastała ich powierzchnię cienkim koźuszkiem.

Kiedy przeszliśmy do hali, mleko było już ścięte (dzięki działaniu podpuszczki) w jednolitą galaretowatą masę, a ubrani w białe fartuchy pracownicy zabierali się do krojenia owej masy znajdującej się w mleczarskich wannach, w małe sześciany o wymiarach 2 × 2 × 2 cm. Kiedy po kilku minutach od białych sześcianów zaczęła się wyraźnie oddzielać serwatka, nastąpiła ceremonia wylewania zawartości wanien do form serowarskich. Teraz do hali weszły biało ubrane kobiety i zaczęły przewracać formy z powstającym serem, aby spowodować odpływ serwatki. Zabiegu tego oczywiście nie śledziłam do końca, ponieważ miał on trwać 6 godzin! Wszystko, rzecz jasna, odbywało się w stałej temperaturze, aby „młody" ser przypadkiem się nie przeziębił!

Przeszliśmy dalej, by zobaczyć jak wcześniej przygotowane kręgi sera brie i małe krążki camemberta **) „kąpią się" w 20% roztworze soli. Po przeszło godzinnej kąpieli i ocieknięciu z wody, ser wędruje do dojrzewalni. Tutaj na czyściuteńkich i przewiewnych półkach leży sobie (także przewracany to na jedną, to na drugą stronę) 12 — 15 dni. W dojrzewalni temperatura jest znacznie niższa, a pierwsze objawy pleśni występują po 4 lub 5 dniach. Kiedy ser dojrzeje, pozostaje go tylko ładnie zapakować, przykleić etykietkę i wyekspediować w świat.

Ser brie z Gniezna zdobył złoty medal w Moskwie, w w Oslo także spotkało go zaszczytne wyróżnienie, o czym nie bez słusznej dumy poinformował mnie kierownik produkcji. Największym odbiorcą sera brie są Katowice i Poznań. Do Warszawy transportuje się go dwa razy w tygodniu.

Ale i tak stale jest go za mało...

Tekst i foto:

A. GRZYBOWIECKA

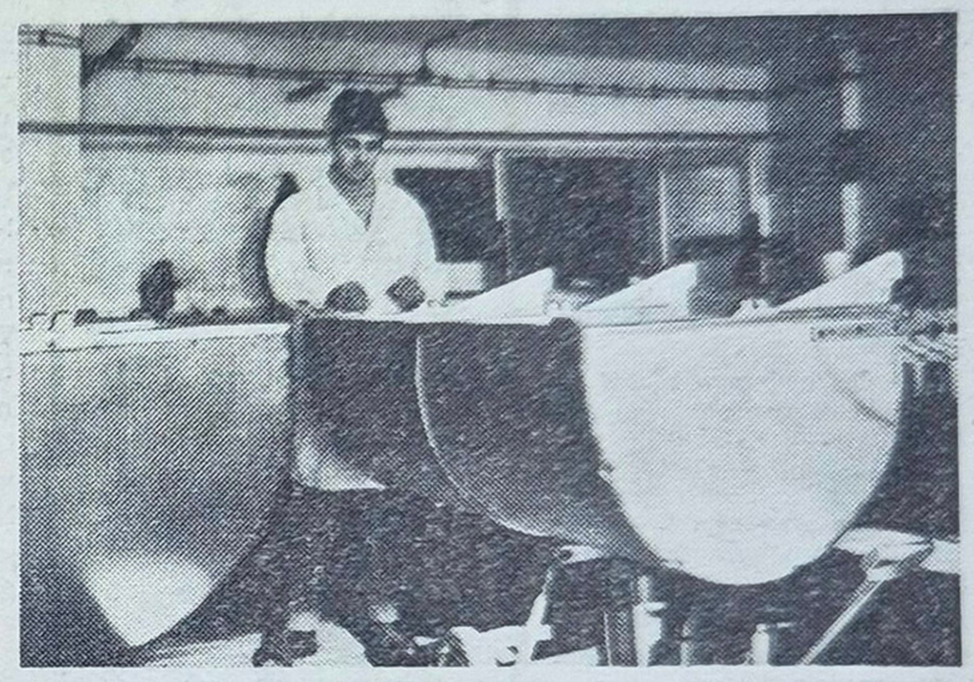

Kierownik produkcji Spółdzielni Mleczarskiej w Gnieźnie, pan Zygmunt Stefański, bada zawartość wanien z galaretowatą mleczną masą. Powstanie z niej ser brie lub camembert.

*) czytaj: bri.
**) czyt. kamembera

● **Sery pleśniowe dojrzewają prawidłowo tylko wówczas, gdy znajdują się w osobnych pomieszczeniach, wyłącznie dla nich przeznaczonych. Tę starą serowarską zasadę próbowano kiedyś złamać. Równocześnie z serami brie zaczęto produkować sery tylżyckie, należące do gatunku twardych. Okazało się, że delikatny i miękki brie... zaatakował grubą skórę sera tylżyckiego! Był to rodzaj infekcji drobnoustrojów, bardzo dla sera tylżyckiego niekorzystnych...**

● **Skąd się bierze pleśń na serze brie, skoro wszędzie jest tak czysto? To proste. Specjalnie się ją hoduję i dodaje do podgrzanego mleka razem z podpuszczką. Jest to pleśń penicylinowa. To ona właśnie porasta ser drobnym meszkiem, nadając mu zapach pieczarek...**

● **Dawniej serowarzy po zapachu poznawali, czy ser brie jest już gotów, czy jeszcze musi dojrzewać.**

Najpierw w pomieszczeniu, gdzie ser się znajdował pachniało świeżym masłem, potem jabłkami. Gdyby pojawiła się woń gruszek znaczyłoby to, że w serze znajduje się kwas masłowy i wówczas serowarzy martwiliby się. Po siedmiu dniach znikał zapach owoców, natomiast pojawiał się znamienny zapach pleśni, przypominający pieczarki. (ag)

Ryszard Marek Groński

KROPLA DESZCZU NA DŁONI

5)

Dwa tygodnie temu zginęła para dewizowych turystów.

— Zginęła? Jak mam to rozumieć.

— Przepadli jak kamień w wodę. GOPR szukał, wojsko. Wszystko na nic.

— Musieli się zabłąkać w górach.

— Oni? W ogóle w góry nie chodzili. Ich samochód też zginął. Chyba mi nie powiesz, że Mercedes urwał się w góry na przechadzkę...

— Pochyła sprawa — zgodziłem się. — Myślisz, że ktoś ich załatwił?

— Jasne.

— Ale kto, kto?

— Śledztwo nie dało rezultatów.

— Ustalono chyba gdzie i z kim przebywali...

— Ustalono. Pewnie, że ustalono. I co z tego? Szwendali się po kawiarniach, często przesiadywali u Siudy. Prawda, ty nie wiesz, kto to taki. Siuda, bracie, to instytucja. Jest ajentem „Janosika".

— Aha. O „Janosiku" słyszałem. Podobno bombowy lokalik. Daleko stąd?

— Nie za bardzo. Autobus podwozi w dziesięć minut.

— Co byś powiedział na to, żebyśmy tam się wybrali?

— Teraz?

— Do obiadu jeszcze dwie godziny. Zdążymy. Jestem ciekaw jak wygląda ten cały „Janosik".

— Możemy pojechać. Wyciągaj nogi. Trzeba się solidnie zwijać, jeśli chcemy wrócić na czas.

W autobusie był tłok. Podstawową masę podróżnych stanowiły góralki, wracające z targu. Z ich tobołków wystawały smukłe szyjki butelek.

— Na następnym wysiadamy — rzekł mój nowy przyjaciel.

Przecisnęliśmy się do wyjścia. Autobus zatrzymał się naprzeciwko obszernego domu z podjazdem dla samochodów.

— „Janosik"? — zapytałem.

— Świetny punkt. Każdy — chce czy nie chce — musi się zatrzymać.

Weszliśmy do środka.

— Kawiarnia jest po lewej stronie — Felek wprowadził mnie do dużej salki urządzonej w stylu zakopiańsko-cepeliowskim. Z trudem udało się nam znaleźć wolny stolik. Pod oknem siedział Niemiec, mieszkaniec „Różyczki". Towarzyszył mu mężczyzna, którego twarz wydała mi się znajoma. Ależ tak: to był ów bokser, znajomy właściciela pensjonatu. Niemiec wstał. Bokser również się podniósł. Przeszli przez salę do wyjścia.

Zjawiła się kelnerka.

— Co dla panów...

— Sok z czarnej porzeczki.

— Nie prowadzimy.

— To oranżadę.

— Nie ma. Może być napój firmowy, kawa lub herbata.

— W takim razie poprosimy o dwie herbaty.

— Ciastka?

— Nie, dziękujemy.

Herbata była ledwo letnia i słaba jak niemowlę. Kelnerka od razu zainkasowała należność. Nachyliłem się do Felka.

— Widziałeś tego gościa spod okna? To Niemiec. Mieszka w „Różyczce".

— Aha.

— Siudy nie ma?

— Nigdy się tu nie pokazuje. Interes prowadzi żona.

— Ten Siuda, co to za jeden...

— On nie jest stąd. Osiedlił się kilkanaście lat temu. Zbudował ten dom. Z miejscowymi nie utrzymuje stosunków. Za to z turystów drze skórę, aż przykro. Wieczorem w sali restauracyjnej jest dancing. Wyobrażasz sobie, ile Siuda każe bulić za działalność rozrywkową.

— Cena herbaty daje mi o tym pewne pojęcie. Siuda mieszka tu, w tym domu?

— Na piętrze.

— Zajmuje całe piętro?

— Tam są pokoje gościnne. Kiedy ktoś się zasiedzi w nocy, albo za dużo natankuje — proponują mu nocleg. Powiadam ci, Siuda rozkręcił byznes na sto fajerek. Całą rodzinę zatrudnia. Kelnerują jego lewe kuzynki. Jeden z synów jest szatniarzem. Drugi pilnuje samochodów gości.

— Ci turyści, co przepadli bez śladu, mieszkali tutaj?

— Nie. Ale często ich widywano w „Janosiku". Siuda był przesłuchiwany wiele razy na tę okoliczność. Okazało się, że jest czysty jak łza.

— Myślisz, że to on ich...

— Tego nie wiem. Dałbym jednak głowę, że wie na ten temat dużo więcej niż to wynika z jego zeznań. Widzisz, on od lat pracuje w cudzoziemcach. Obskakuje ich tak, że żaden Orbis z nim nie wygra.

— To się nazywa — urwałem w połowie zdania... W drzwiach stał ojciec i Ładna Pani z pociągu. Koszmarna zasypa! Na szczęście stary nie patrzył w moją stronę, całą uwagę koncentrując na swej randce. Zajęli stolik pod oknem, zwolniony przez Niemca.

— Chodźmy — powiedziałem. Stary coś szeptał do ucha Ładnej Pani. Musiało to być niesłychanie zabawne, bo Pani wybuchnęła śmiechem. Dzięki tej szeptance udało się nam wyjść niepostrzeżenie.

— Niezły lokalik — skwitował nasz pobyt Felek.

— Interesujący — potwierdziłem.

Do miasta wróciliśmy pieszo. Szliśmy skrajem szosy.

— Widzisz — Felek zwrócił moją uwagę na słup dymu, widoczny w prześwicie między drzewami.

— Pożar?

— Jaki tam pożar. To dymią wszystkie kominy Zakopanego. Czyste powietrze jest już tylko w górach. W Zakopanem — przypatrz się dobrze, czym oddychasz... Stary zauważył jednak moją obecność w „Janosiku". Przyszedł niedługo po mnie i zaraz wystartował z pretensjami.

— Nie masz już gdzie chodzić? „Janosik" to nie dla ciebie.

— Zapominasz, że miałeś mnie tam zabrać.

— Ze mną to co innego. Po diabła tam polazłeś?

— Tak się jakoś złożyło. Ostatecznie, ciebie również tam przywiało....

C.D.N.

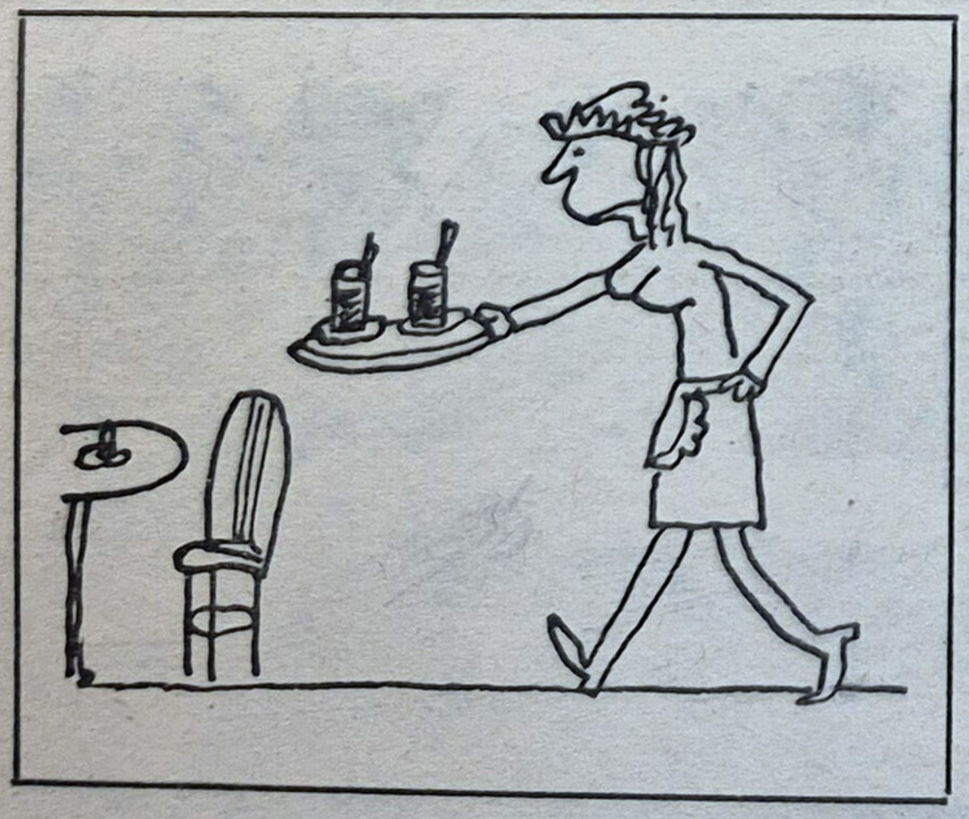

„SWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPOŁ. Red. nacz. JERZY MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji — 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEZOWA I SPORTOWA". RSW „Prasa", Warszawa, ul. Bagatela 14. Dyrektor Wydawnictwa, tel. 28-09-73. Dział Wydawniczy, tel. — 29-35-52. Biuro Ogłoszeń — Warszawa, ul. Bagatela 14, tel. — 21-21-29. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" W-wa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.30, kwartalna zł 13.00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać można również na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", W-wa, ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch" Warszawa, ul. Wronia 23, konto PKO Nr 1-6-100024. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych, na uprzednie pisemne zamówienia, prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa, ul. Towarowa 28
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. MOKOTOWSKA 24. Niezamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Numer indeksu — 35039. Zam. 626. A-65

KRONIKA KLIMATU

Przed kilku laty uczeni amerykańscy przewiercili całą grubość pokrywy lodowej Grenlandii i otrzymali „sopel" lodu długości 1390 metrów. Badanie tego wycinka prowadzone przy użyciu izotopów umożliwiło określenie zmian klimatu w ciągu ostatnich 100 tysięcy lat. Chociaż sporządzony wykres obrazuje zmiany klimatyczne na Grenlandii, to jednak zgadza się ze znanymi zmianami klimatu zachodzącymi na innych obszarach ziemskich. Opierając się na uzyskanych danych uczeni przepowiadają zmiany klimatyczne, jakich należy się spodziewać w ciągu najbliższych pięćdziesięciu lat.

(jk)

„PPPP-72"

W kilka dni po ukazaniu się reportażu „Wynalazki Wacka Pomyślunko" otrzymałam od Wacka zaproszenie do obejrzenia nowego wynalazku.

— Każdy wie — zagaił Wacuś — że uczniowie co roku zmieniają wymiary swojego ciała, w związku z tym przestają pasować do ławek, w których w poprzednim roku idealnie im się siedziało. Zdarzało się w naszej klasie, że pan mówił: „Jacek, do tablicy!" Jacek natychmiast podrywał się z całą ławką ciągnął się na środek klasy, bo nie mógł wydobyć kolan spod niskiego pulpitu. Inny przykład: Pan wołał do ucznia, któremu z ławki wystawała tylko czupryna: „Michałowski, wyjdź spod ławki! Dlaczego nie uważasz?" „ — Uważam, przez szparę w skrytce, bo ławka jest za wysoka dla mnie."

— Jak wiem, ławki w klasach są dopasowane do wieku uczniów — wtrąciłam.

— W klasach tak, ale nie w pracowniach. Na geografię idzie się do jednej pracowni, na matematykę do drugiej itd. Cały dzień wędrówka ludów. Raz się siedzi za nisko raz za wysoko. Mój wynalazek „PPPP-72" czyli Pneumatyczny Podnośnik Pod-Pupkowy zapobiega temu doskonale. Jest to gumowa, harmonijkowa poduszka złożona z szeregu komór, pięterek. Jeśli ławka jest za niska, nadmuchuje się kilka pięterek, jeśli za wysoka wypuszcza się powietrze.

Przegon uczniów z klasy do klasy zabiera czas przeznaczony na rozruszanie i przewietrzenie ucznia na świeżym powietrzu. Niedotleniony uczeń zasypia na lekcji. I tu spieszy z pomocą moja „PPPP-72". Przed lekcjami należy poduszkę napełnić tlenem a do korka dokręcić gumową rurkę. Wiadomo, że w tlenie wszystko lepiej się pali. To samo i z uczniem. Kiedy uczeń czuje, że zasypia, wypuszcza sobie pod nos trochę tlenu i z miejsca pali się do nauki.

Poduszka może być przydatna w kinie, kiedy przed uczniem usiądzie pani w kapeluszu, do siedzenia na klatce schodowej, kiedy zapomni się kluczy, a w domu nie ma nikogo itp. Jeśli do rurki dołączymy trzy fujarki, a poduszkę umieścimy pod pachą i będziemy naciskać łokciem, otrzymamy instrument muzyczny „air-dudy" (ang. czyt. erdjudey). Jeśli końcówkę rurki zaopatrzymy w sitko i umieścimy w akwarium, a na poduszce napełnionej powietrzem położymy coś ciężkiego, np. żelazko, otrzymamy utleniacz wody.

W lecie udajemy się na basen nie zapominając o moim wynalazku. Kiedy chcemy skoczyć do wody, wchodzimy na malarską drabinę, skąd skaczemy na poduszkę. Poduszka odbija nas do góry, robimy salto i efektownie wpadamy do wody. Dźwiganie drabinki w upał na basen wynagrodzą nam oklaski publiczności.

— Przepraszam, Wacusiu, ale mnie również wpadł pomysł jeszcze jednego zastosowania poduszki — wtrąciłam.

— Nie boję się konkurencji, zresztą moich wynalazków nie zgłaszam w urzędzie patentowym, nie czerpię korzyści materialnych, nie służą szerokim rzeszom. Słucham...

— Otóż napełniamy poduszkę powietrzem, kładziemy na piecu, w tym czasie, kiedy powietrze się nagrzewa, myjemy głowę. Po umyciu wypuszczamy powietrze i suszymy włosy...

— Niestety. Nic z tego nie będzie. Powietrze ogrzane zwiększa objętość i rozsadzi poduszkę przed zastosowaniem jako suszarka. Nim się przystąpi do opracowywania wynalazków — proszę pani — trzeba opanować podstawy takich nauk jak: karbosolifiza, matmoignorantyka, chemicipirystyka, butamistyka i inne.

Zawstydził mnie Wacuś.

A. WSZYSTKOWIEM

GRA O PIERŚCIEŃ KSIĘŻNEJ ANNY

Zgłoszenia ciągle napływają! Mamy już adresy wielu teatrów i teatrzyków. Ich siedzibą są strychy, piwnice, dom rodzinny, szkoła, Domy Kultury i wielkie Pałace Młodzieżowe.

Właśnie jedno takie zgłoszenie z Łódzkiego Pałacu Młodzieży przysłała do redakcji Ewa Woźniak:

— Nasz teatr pracuje już 20 lat, a ja należę do niego od lat trzech. Obecnie wystawiamy sztukę „Za siedmioma górami". Mój teatr zachęcił mnie do pójścia na studia do Szkoły Aktorskiej Po wystawieniu trzech sztuk poczułam się już prawdziwą aktorką, tym bardziej, że zostaliśmy także nakręceni na taśmę filmową...

*

Pojechałam do Łodzi obejrzeć teatr, który wyzwala w swych uczestnikach marzenia o prawdziwym aktorstwie.

Przyjął mnie dyrektor Pałacu Młodzieży im. Juliana Tuwima.

— To prawda, że uczestnicy naszego teatru czują się „prawdziwymi" aktorami. Są w naszym mieście bardzo znani. Oglądają ich wszystkie szkoły, wielu rodziców i profesorów. Niektórzy nasi uczestnicy-absolwenci pracują już jako aktorzy w prawdziwych teatrach w całej Polsce. Przyjeżdżają do nas na każdą uroczystość i wspominają wraz z nami miłe czasy, gdy byli dziećmi i stawiali pierwsze kroki na scenie. Oprócz tego zawsze służą nam radą, pomocą i doświadczeniem.

Szkoda, że nie trafiła pani na dzień zajęć naszego teatru. Zapraszamy gorąco jeszcze raz, na uroczystą premierę nowej sztuki, która wystawiona będzie w początkach marca z okazji Jubileuszu 20-lecia istnienia naszego teatru.

Przyjadę bez wątpienia, a na razie zamieszczam fotografię Łódzkiego Teatru wraz z jego zasłużoną instruktorką, panią Henryką Tostą. Zdjęcie przedstawia początkowe prace nad sztuką, czyli czytanie scenariusza. (aw)

Moje tajemnice

WYNALAZEK

Dzisiaj mam potknęła się o buty, porozrzucane po przedpokoju.

— Coś trzeba z tymi butami zrobić, przecież pozabijamy się kiedyś przez nie! Wymyślcie coś, bo nie mogę na ten bałagan patrzeć! — denerwowała się.

Ta awantura zdopingowała mnie do myślenia i oto skutek — wynalazek racjonalizatorski. Wszyscy w domu patrzą na mnie z szacunkiem i podziwem. No bo proszę: minimalnym kosztem (kawałek kretonu w kwiatki i kawałek folii plastykowej zszyte razem — plastyk na wierzchu) i mamy piękny schowek na buty. Przypniemy go do drzwi w przedpokoju, nie będzie nikomu przeszkadzać. Mama mówi, że nareszcie buty będą dobrze wyczyszczone, bo przecież zabłoconych nie można włożyć do takiej pięknej saszetki.

Zrobię jeszcze taką samą trochę mniejszą i zawieszę w szafie: będzie można chować do niej pończochy, chusteczki, rękawiczki i takie różne drobiazgi! Słyszałam, jak mama mówiła do sąsiadki: „mam genialną córkę"...

KUBA

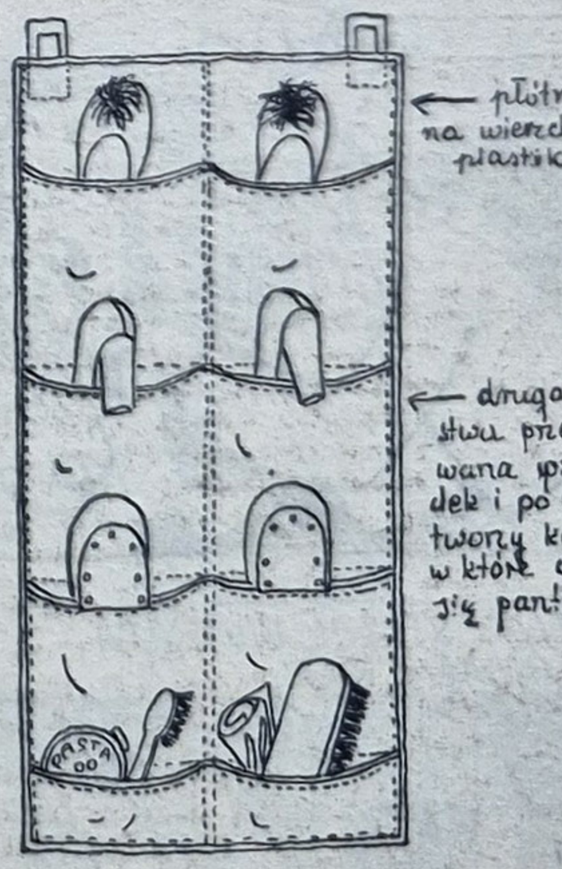

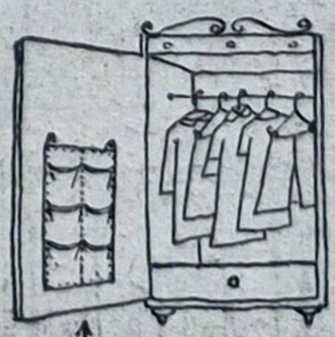

a tak można zawiesić saszetkę na różne drobiazgi

BOLEK i LOLEK
NA DZIKIM ZACHODZIE

Scenariusz:
WŁ. NEHREBECKI
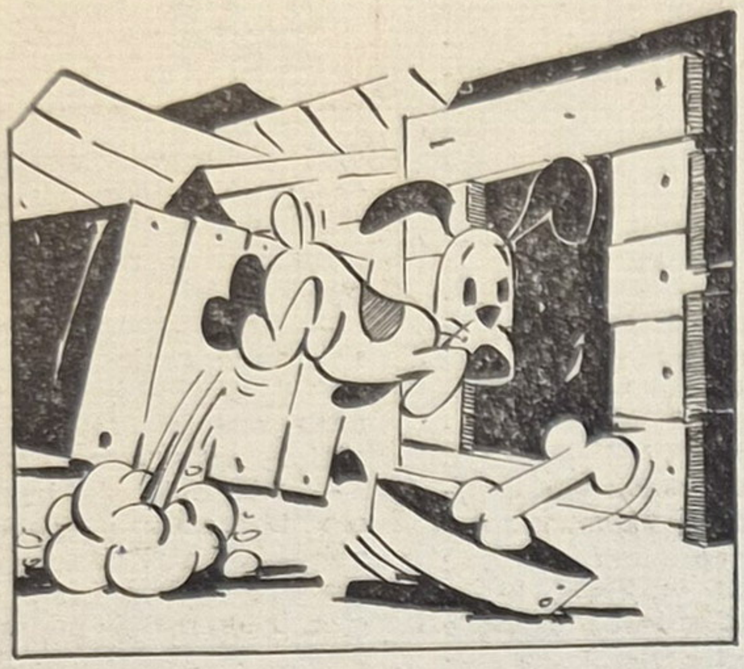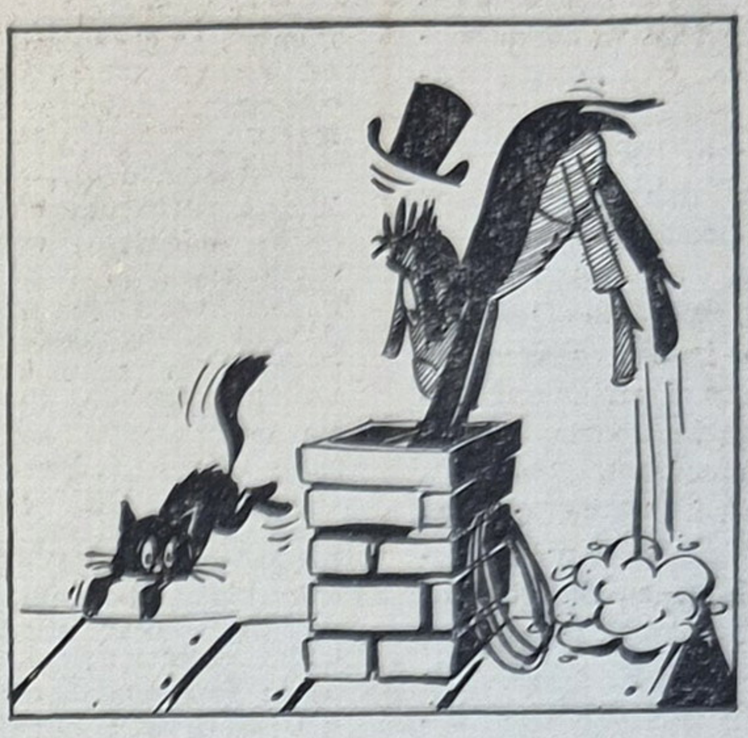
Rysunki:
ST. DÜLZ